

Albert Boissiere.

# Człowiek bez twarzy.

17

(Ciąg dalszy).

Znalazłem tam ulicę Richelieu... ulicę Saint Denis, a co ważniejsza, słyszałem dokoła siebie swą mowę rodzinną. Byłem zachwycony! Miałem wrażenie, iż oddycham powietrzem mych stron ojczy-  
stych, które z zapachem lasów z wsi rodzinnej, przywiodło mi na myśl pamięć przeżyte tam radości i bóle.

...Gdy wieczorem spacerowałem po ulicach Montrealu, zapuściłem się także do dzielnicy angielskiej... Przyglądałem się bezmyślnie wystawom sklepowym na ulicy Mac-Dongall, gdy naraz uwagę moją zwrócił olbrzymi kolorowy afisz, zawieszony koło jaskrawo pomalowanych drzwi... Było to ogłoszenie kabaretu, wzorowanego na angielskich music-hall, które obiecywało każdemu przyjemne spędzenie wieczoru. Wszedłem i ja do środka za dość licznie udającą się tam publicznością i zająłem niewygodny fotel w orkiestrze, za cenę dwóch dolarów... Program przedstawienia składał się z numerów, jakie można oglądać we wszystkich podobnego rodzaju zakładach... Pokazała się więc naprzód cała gromada śmiesznych „girls”, potem najrozmaitszych narodowości śpiewaczki i tancerki, następnie niezwykle zawsze ekwilibriści japońscy, grupa gimnastyków i gimnastyczek i kobieta z gumy...

Głównym punktem programu miała być pantomina, zatytułowana: *Kwestya murzyńska*, która w Kanadzie nadawała się do wszelkiego rodzaju żartów i kpin, lecz która nie byłaby tolerowaną i po-  
błażliwie przyjętą w innych Stanach Związku, gdzie doprowadzała też często do gwałtownych i krwawych rozruchów!

...Od pierwszej chwili wejścia na scenę aktora, poznałem w nim Dżima. Dawny sługa Joego, miał odegrać tutaj główną rolę!... I wyznać muszę, że opanowało mnie zaraz wzruszenie, którego nie mogłem przypisać przedstawieniu. Nie widziałem go nawet! Nie rozumiałem wcale mimiki negra, od której cała scena pokiadała się od śmiechu! Wzrok swój utkwiałem w małych drzwiach na scenie w środku dekoracji, chwiejących się od przeciągu z za kulis. Nie patrzyłem nawet na Dżima, który tańczył zapamiętane jakiegoś szalonego cake-walka... Oczy me spoczywały bez przerwy na tych drzwiach, oczekiwałem bowiem, że otworzą się lada chwila i wbiegnie przez nie na scenę towarzysza Dżima, partnerka jego w tej pantominie, Lucyja Weill we własnej osobie.

I rzeczywiście też, spotęgowało się moje wzruszenie niezmiernie, gdy w chwilę potem rozwarły się drzwi, które dla mnie były całem przedstawieniem i ukazała się w nich Lucyja Weill! Lornetka zadrgała mi przy oczach na jej widok. ...I to była Lucyja Weill, ta wstrętna kaboutynka, która w wyuzdanych podskokach zjawiała się przed publicznością i jako ulubienica została przywitana grzmiotem oklasków!

Poznałem Lucyę Weill!... Poznałem ją po jej wielkich, okrągłych oczach z sinemi dokoła obwódkami... nie poznałem jednak w niej tej pięknej kobiety, jaką była niegdyś. Zestarzała, wychudła, o zwiędniętem ciele i pomarszczonej twarzy nie była tą pięknoscą, jaką ją znałem, nie była to kochanka Williama i żona Polidora!... Zdawało mi się, że raczej widzę widmo Lucy, jej szkielet, niż ją samą!... Wycięty głęboko stanik odkrywał jej chudą, wydłużoną szyję z żyłami, podobnemi do postronków!... Lampy elektryczne oświecały jej zniszczoną przez rozpustę i alkohol i wymalowaną twarz. ...Zapadnięte policzki i wystające kości świadczyły niezbicie, iż niema już w niej nic żywego, zdrowego... Pozostały jej tylko dawne oczy ze swym przejmującym cza-  
rem, oczy Lucy, nadające jeszcze oznaki życia jej wynędzniałej, prawie martwej twarzy.

Opuściłem lornetkę i nie patrzyłem już na tę straszną pantominę! Tłum śmiał się jak szalony z min dziewczyny i z dziwacznych ruchów negral!... Mnie ogarnęła bezmierna litość... Gdy publiczność oklaskiwała ostatnią scenę, w której czarny kochanek zdobył sobie miłość białej, podniosłem się bezwiednie ze swego fotelu, wyrwałem z butonierki bukietek fiołków, które przy wejściu do sali przypięta mi do kłapy żakietu jakaś biedna kwiecarka i pewną ręką rzuciłem go na scenę... Bukietek zawirował jak ptak w powietrzu i padł u samych nóg aktorki...

Lucyja i Dżim zwrócili się jednocześnie w stronę

gentlemana, który dał im tak niespodziewaną oznakę swego zadowolenia...

Stałem ciągle w trzecim rzędzie foteli, odbijając się od całej sali swą głową podniesioną do góry, ze złotemi okularami na nosie, ze wzrokiem utkwionym na scenę...

...Lucyja i Dżim nie skńczyli swego dziękczynnego ukłonu... Nie troszcząc się o program, zapominając końca pantominy, zmieszani, opuścili nagle scenę i uciekli za kulisy, nie kłaniając się nawet publiczności za oklaski!

...Służący hotelowy, którego wysłałem nazajutrz rano w poszukiwaniu z artystą z music-hall, z trudem tylko zdołał sprowadzić do mnie Dżima... Negr nie otrząsł się jeszcze z wczorajszego wrażenia i nie chciał iść z mym posłańcem... Dopiero podarek kilkunastodolarowy i zapewnienie, że nie chcę mu uczynić nic złego, skłoniły go do złożenia mi wizyty...

— Ach! — zawołał Dżim, gdy mnie zobaczył — panie może się pochwalić, że nas przestraszył, mnie i Lucyę!...

Przyjąłem go serdecznie i to go dobrze usposobiło... Jadłem właśnie pierwsze śniadanie, zaprosiłem go więc do stołu, zamiast jednak herbaty lub czekolady wołał się napić kieliszek rumu.

— Teraz, Dżim — rzekłem — może dasz mi o sobie jakie wiadomości?... Może powiesz mi na przykład, w jaki sposób znalazłem cię w tej budzie w Montrealu?

— Panie mógł nas spotkać w zeszłym roku w Pittsburgu, a przed pół rokiem w Colorado!... Trzeba żyć, panie... Pieniądze, które panie nam dał, nie na długo starczyły przy Lucy! Gdy nas przycisnęło, trzeba było wziąć się do czego... i wzięliśmy się do tego!... Lucyja śpiewała jak anioł, a ja grałem znośnie na gitarze...

— Strasznie się zmieniła! — przerwałem.

Na twarzy negra zamalował się zaraz wyraz rozpacz... Postawił na stole swój kieliszek rumu, a wielkie jego białe oczy, napełniły się łzami... Kwadratowy podbródek oparł na rękach, spojrzał mi prosto w oczy i rzekł bezdźwięcznie:

— Już przepadła, panie!

Kaslnął... starał się naśladować kaszel Lucy, by dać mi do zrozumienia, iż jest podminowana suchotami!... Wstrząsnął boleśnie swą wielką, kędzierzawą głową i dodał:

— Wczoraj po przedstawieniu, z powodu wrażenia, jakie odniosła ujrzawszy panie, dostała ataku... Pluła krwią przez całą noc. ...Przepadła już Lucyja!

— Wzywałeś lekarza?

— Tak, panie. Doktor powiedział, że ona nie opuści już Montrealu.

Jadłem spokojnie śniadanie, pragnąc okazać się obojętnym wobec opłakanego stanu Lucy, którą tak zmienioną widziałem po raz pierwszy wczoraj na scenie... Zapytałem więc jeszcze:

— Czy dawno już tak kaszle?

— Zaczęło to się w San Francisco, gdyśmy nie znaleźli już ani jednego dolara w kieszeni, panie! Ona lubiała bardzo napić się, piła szampana... wszystkie likiery ...i czy Dżim może wiedzieć wszystko!

I podałem mu powtórnie drżącą ręką pusty kieliszek, by dowieść mi zapewne, iż dla niego nie jest strasznym alkohol, który jednak potępia u swej towarzyszki.

Przypomniałem sobie Lucyę Weill z dawnych czasów, by przekonać się, jak nisko teraz spadła!... I może zostanę uznany za człowieka pozbawionego wznioślejszych uczuć, przyznam się jednak, że w chwili tej nie doznawałem dla niej żadnej litości...

Swym płaczliwym głosem negr mówił dalej:

— Ach! jak ja byłem szczęśliwy z Lucyą!

I z całą naiwnością dodał, jakby na przykładzie chciał dowieść mi swej szczęśliwości.

— A biła mnie jak w bęben, panie!... I zdradzała mnie z Pierpontem i z Johnem... gentlemanami z Chicago... z gentlemanami z Cincinnati i z gentlemanami z Nowego Orleanu!... Wszędzie, wszędzie! panie!... Ach! ile mi ona cierpień zadała!... i ja byłem bardzo szczęśliwy!

Widząc, że oprócz tych lamentacji nic więcej nie dobędę z Dżima, przerwałem i zapytałem:

— Jaki doktor ją leczy?

— Doktor Brown z ulicy Wellington!

— Dobrze, Dżim... Zajmę się tem!

Dałem negrowi garść dolarów i wskazałem mu na drzwi.

— Ach! — zawołał, odwracając się jeszcze na progu — a Lucyja bardzo się ucieszyła z tego bukietka fiołków od panie!

...W kwadrans potem doktor Brown z ulicy Wellington był już w hotelu.

— To pan, szanowny gentlemanie, jest chory?

zapytał bez ceremonii i dodał zaraz... — Trzy funty za wizytę w domu!...

— Niech pan siada! Dostanie pan sześć!

— Pan jest neurastenik?

— Nie! Jestem Brentano, król papierowy.

— Ach, w takim razie to będzie dziesięć funtów, jeżeli master pozwoli!

— Dwadzieścia, jeżeli pan zechce... Pan leczy jedną osobę, którą się interesuję, śpiewaczkę z music-hall, ...tuberkuliczną i alkoholicką w dodatku!...

— Żonę negra?... Tak... Wiem... Byłem dziś u niej rano...

— Czy uważa pan, że koniec jej blizki?... Za tydzień muszę być już z powrotem w Nowym Jorku!

— Za tydzień, to znaczy jeszcze ośiem dni! — powtórzył doktor, udając, że rachuje na palcach. — Jeżeli master Brentano, interesuje się pan tą śpiewaczką z music-hall, to nie będzie pan potrzebował zwlekać ze swym powrotem!... Jest już stracona, niepowrotnie stracona!... Nie pozwoliłem pokazywać się jej na scenie!... Jest to już teraz kwestya nie dni, lecz godzin! Czy to jest wszystko, co pan chciał wiedzieć?

— Wszystko! Ile?

— Dwadzieścia funtów, jak pan sam powiedział!

Doktor Brown zagarnął podane sobie pieniądze i wyszedł z przesadną powagą.

Teraz dopiero, gdy zostałem sam w pokoju, poczułem się wzruszonym i do głębi przejętym. Nie nazwy francuskie ulic Montrealu, nie mowa jego mieszkańców, nie koloryt lokalny wywołał w mym wzburzonym umyśle widoki życia paryskiego i przypomniał me dawniejsze życie, lecz ten nędzny strzęp człowieka, złożony na marnem posłaniu, ta dziewczyna, która była nieszczęściem mego syna Polidora i zięcia mego, Williama Duncana, ta Lucyja Weill, która teraz konała!... I choć może będę uważany za ostatniego z ludzi, mówię jednak głośno, iż śmierć Lucy Weill napełniała mnie jakimś nieznanym spokojem, jawiła mi się jak blask słońca na zachmurzonym po burzy niebie! Nie wiedziałem sam, czego mam oczekiwać po jej śmierci, miałem jednak jakieś wewnętrzne przeczucie, że fakt ten wyrwie jakieś doniosłe skutki, położy się całym swym ciężarem w poprzek mego życia i zmieni do-  
szcześnie dotychczasowy jego kierunek.

...Na czwarty dzień po przedstawieniu w kabarecie, wpadł do mnie Dżim cały w łzach i oznajmił mi wśród płaczu o śmierci Lucy Weill... Towarzyszył mu doktor Brown, który chciał otrzymać jeszcze jedno honorarium...

— Ach! panie! — łkał i jęczał biedny negr. — Zgasła jak płomień zapałki... trzymając w swych wychudzonych palcach pański zwiędnięty już bukietek fiołków... i z rozkoszą powachała go jeszcze po raz ostatni zanim oddała swą duszę!

...I jakiś szatan... tak! tylko szatan! nie mogło to być nic innego!... pobudził mnie, bym pobiegł do telegrafu i wysłał następującą depeszę:

Doktor William Duncan, Paryż.

Lucyja Weill zmarła dzisiaj, 27 grudnia w Montrealu...

Jonatan Brentano.

## XXIII.

Postanowienie me było stanowcze, zamiar mój zupełnie jasny. Ani przekonywujące dowody pana Tecka, ani wzruszające prośby mego sekretarza, Johna Fellowa nie mogły skłonić mnie do zaniechania mej decyzji... Nagle zjawiała mi się myśl podróży do Francji i natychmiast też się zdecydowałem.

— Pan nie postępuje już rozsądnie, master Brentano — mówił mi adwokat Teck. — Naprawdę, nie!... Do czego to podobne, by człowiek, który przedstawia wartość stu pięćdziesięciu milionów dolarów, narażał się na niebezpieczeństwo, a nawet sam je wywoływał, kiedy od niego żądają tylko, by pozostał na miejscu w spokoju, jakiego zażywa już od dwóch lat!... Czy pan źle na tem wychodzi?... Schudł pan? Stracił pan choćby kilo?

— Nic dobrego nie wróżę sobie po pańskiej podróży, master Jonatanie — namawiał mnie do zostawienia mego sekretarza, Johna Fellowa. — Dobrze pamiętam wszystko, co się przytrafiło pańskiemu współnikowi a memu pierwszemu szefowi, Joemu Duncanowi, gdy przed trzema laty przedsięwziął taką samą podróż!... Nie przyniosła mu ona szczęścia!... Niech mi pan wierzy! Ja mam jakieś niewyraźne przeczucie, master Brentano, że jeżeli pan przepłynie Atlantyk, to ja już nie zobaczę pana więcej!